

WOLNY CHRZEŚCIJANIN

Miesięcznik Poświęcony Głoszeniu Wolności Chrześcijańskiej i Pogłębieniu Postępowej Myśli Oświatowo Religijnej.

Vol. VI. Październik, Listopad i Grudzień, 1949 No. 10, 11 i 12

Czytelnikom Wolnego Chrześcijanina
Przyjaciołom i Sympatykom naszym,
Naszym Braciom i Siostrom w Polsce
I Tym, co na obczyźnie się tułają,

Ślemy najserdeczniejsze życzenia
Radosnych i Błogosławionych Świąt
Narodzenia Chrystusowego, oraz
Szczęśliwego i pomyślnego
Nowego Roku!

Redakcja "Wolnego Chrześcijanina."

THE FREE CHRISTIAN

An Independent Polish Monthly, published by The Free Christian Foundation, created by contributions from its readers and Christian friends everywhere.

Rev. John Gilewicz, Editor and Mgr.
2860 N. Woodard St., Chicago 18, Ill.

Yearly Subscription ---------- $3.00
Single Copy ---------------- 30c

WOLNY CHRZEŚCIJANIN

Niezależny Miesięcznik Polski, wydawany przez Fundację Wolnego Chrześcijanina powstałą z ofiar swoich czytelników, przyjaciół i Chrześcijan z różnych stron.

Roczna Prenumerata --------- $3.00
Zeszyt Pojedynczy ----------- 30c

Wszelkie zamówienia, ofiary i korespondencje należy wysyłać do redakcji i administracji pisząc dokładnie:

WOLNY CHRZEŚCIJANIN
c-o J. Gilewicz,
2860 N. Woodard St., Chicago 18, Ill.

Pieniądze powinne zawsze być wysyłane przekazem lub kuponem pocztowym (Money Order or Postal Note).

UWAGA: — Zdarza się czasami, że przez pomyłkę w adresie pisemko niedochodzi do właściwych rąk. Redakcja może taka pomyłkę sprostować tylko wtedy, kiedy dany czytelnik zawiadomi o tem, że pisma nie otrzymuje.

LISTA HONOROWA

Specjalne ofiary na wsparcie wydawnictwa naszego pisma nadesłali od września do 1-go grudnia następujący czytelnicy:

G. Jasinkiewicz, Chicago, Rose Truskey, Buffalo, N. Y., Konferencja P. B. w Ameryce, W. M. Burdowie, Carnegie, Pa.

Składamy serdeczne "Bóg Zapłać!"

POKWITOWANIE

B. Kruczek, Newark, N. J., S. Puchalski, Jersey City, N. J., Rev. A. Nichiporuk.

Serdecznie dziękujemy za odnowienie swej prenumeraty. Czytelników, którzy zalegają w swej przedpłacie, uprzejmie prosimy o jak najrychlejsze uiszczenie się z takowej. Pamiętajcie, Drodzy Czytelnicy, że opóźnianie sie z przesyłką Waszej należności i Waszej pomocy finansowej, jest jedynym powodem opóźniania się w wydawaniu naszego pisemka, co w rezultacie przynosi krzywdę szczególnie tym, którzy zawsze starają się wspierać hojnie to pismo.

DWUROCZNIK "Wolnego Chrześcijanina"

W styczniu 1950 r. wydany będzie DWUROCZNIK naszego pisma, obejmujący wszystkie wydania za 1948 i 1949 lata. Wyjdzie takowy w pieknej i silnej ksiażkiwej oprawie. Zamówienia będą przyjmowane do dnia 31-go grudnia b. r. Cena DWUROCZNIKA — $3.00.

WOLNY CHRZEŚCIJANIN

Vol. VI. October, November and December, 1949 No. 10-11-12

☆ ☆ ☆ Z KAZALNICY ☆ ☆ ☆

BEZDOMNI

TEKST—I porodziła syna swego pierworodnego, i uwinęła go w pieluszki, i położyła go w żłobie, dlatego, że miejsca nie mieli w gospodzie. — Łukasza 2:7.

Lisy mają jamy, i ptaki niebieskie gniazda; ale Syn człowieczy nie ma, gdzieby głowę skłonił.—Łukasza 9:58.

Kazn. J. Gilewicz

W tegoroczne święto, Dziękczynienia, kiedy naród amerykański zasiadał do suto zakrytych stołów, by spożywać tradycyjnego indyka, kiedy po domach ludzi wierzących i w świątyniach składano dzięki za dobrodziejstwa i błogosławieństwa jakimi cieszy się ten najbogatszy kraj w świecie — na głównej stacji policyjnej w Chicago zjawiła się młoda rodzina—43-letni ojciec, jego 28-letnia małżonka i ich 15-miesięczna córeczka.

Bezdomni, głodni i chłodni, i bez centa w kieszeni, przybyli oni tu jako do ostatniej przystani schroniska i ratunku. Ojciec dał w zastaw swe palto, a za otrzymane parę groszy kupił mleka dla dziecka. Noce spędzali po stacjach kolejowych. Sierżant policji próbował ulokować tą bezdomną rodzine w jednej z miejscowych instytucji dobroczynnych, lecz wszedzie spotkał się z odpowiedzią — “Nie ma miejsca.” Musiał tedy wszystkich rozłączyć; matkę umieszczono w celi więzienia, ojca odesłano do domu jednej ratunkowej misji, a dziecko odesłano w patrolce do sierocińca.

Sierżant, który zajął się losem tej nieszczęśliwej rodziny, rzekł z westchnieniem: “Świat jest w smutnem położeniu, skoro człowiek musi poczynić takie rozerwanie między ojcem, matką i ich dzieckiem w Dzień Dziękczynienia.”

BEZDOMNI! — Jak bardzo przypominacie nam w tych dniach tą ubogą Rodzinę Świętą z przed dwóch tysięcy lat z Galilei, z miasta Nazaretu. To też byli ludzie młodzi. Zaledwie się pobrali. Widzimy ich jak dziś poprzez mgliste stulecia na wąskiej drodze pól galilejskich wiodącej z Nazaretu do Betlehemu. Józef, cieśla z zawodu, prowadzi skromne bydlę, ośiicę, a na niej siedzi Maria, poślubiona niedawno małżonka, która była brzemienną. Jak wszyscy obywatele i poddani cesarstwa rzymskiego, idą oni do Betlehemu w celu zaregistrowania się. Wyszedł bowiem dekret od cesarza Augusta, aby spisano wszystek świat.

Z przepięknej twarzy przyszłej Matki odbija się światło radości. Chwilami nuci kołysankę, chwilami znów szepcze modlitwę, lecz po największej części jest zadumaną, ze zwrokiem sięgającym w bezgraniczną przestrzeń, jak gdyby widziała to, czego ani Józef obok idący, ani nikt z ludzi nie widział. W jej myślach przeszłość i przyszłość łączy się razem. Przypominają się jej słowa Anioła, który się jej ukazał był z poselstwem od Boga — "Bądź pozdrowiona, łaską udarowana; Pan z tobą; błogosławionaś ty między niewiastami." Pamięta jak bardzo zatrwożyła się na słowa jego, i jak myślała, co też takie pozdrowienie miało oznaczać. Pamięta, jak Anioł wreszcie objawił jej całą tajemnicę, gdy mówił dalej: "Nie bój się, Mario! Albowiem znalazłaś łaskę u Boga. I oto, poczniesz w żywocie, i urodzisz syna, i nadasz mu imię Jezus. Ten będzie wielkim i Synem Najwyższego będzie nazwany, i da mu Pan Bóg tron . . . i będzie królował . . . na wieki, a królestwu jego nie będzie końca." Pamięta wreszcie jak zaskoczoną była poselstwem anielskim, jak ze zdziwieniem rzekła była do Anioła: "Jak się to stanie, kiedy męża nie znam?"

"Duch Święty zstąpi na cię, i moc Najwyższego zacieni cię; przetoż i to święte, co się z ciebie narodzi, nazwane będzie Synem Bożym" — odpowiedział jej Anioł.

Naraz, jakby obudziła się z głębokiego snu, Maria poczęła nucić pieśń, jaką już przedtem śpiewała z radością, gdy oznajmiła swej krewnej, Elżbiecie, tą wesołą nowinę zwiastowaną jej przez Anioła:

> "Wielbi dusza moja Pana, I rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim, Iż wejrzał na poniżenie słu-

żebnicy swojej; albowiem oto, odtąd błogosławioną mię zwać będą wszystkie narody; Bo mi uczynił wielkie rzeczy ten, który mocny jest, i święte imię jego, I miłosierdzie jego od pokolenia do pokolenia nad tymi, co się go boją.

Dokazał mocy ramieniem swojem, i rozproszył pysznych w myślach ich; strącił mocaczy z tronów, a wyższył poniżonych; Łaknących napełnił dobrami, a bogaczów odprawił z niczem."

Słońce już zaszło na dalekim zachodzie i mrok zapadał gdy Józef i Maria znaleźli się w bramie Betlehemu. Znużeni podróżą udali się wprost do gospody, lecz tu już miejsca dla nich nie było. Miasto bowiem roiło się od różnych pielgrzymów. Tymczasem chwila porodu zbliżała się. Któż ich przyjmie o tej porze w nocy? Toż to biedni i na wygórowane ceny za mieszkanie nie mogą sobie pozwolić. Dla takich nie ma miejsca nietylko w gospodach, ale nawet w przytułkach i organizacjach dobroczynnych, bo te i tak już są przepełnione biednymi i bezdomnymi tułaczami. W domach prywatnych napewno znalazłby się gdzie pokój, bo przecież są ludzie, którzy mają miejsce w swych domach i mogliby poratować bezdomnych w chwilach najpotrzebniejszych, lecz nikt nie chce się narażać na niewygodę. Zresztą to ludzie nieznani, choć swoi rodacy, i biedni. Co za korzyść z takich?

Józef z Marią i swym bydlęciem, jedynem materialnem bogactwem, udali się w dzielnicę ubogą na wschód miasta gdzie zamieszkiwali rolnicy. W chatach ich, pokrytych słomą, oczywiście miejsca nie było, bo to rodziny wielkie, a mieszkanie małe, zazwyczaj jednopokojowe. Jeżeli było łóżko, to zajęte było przez rodziców z jednem lub dwojga dzieci, a reszta kładła się gdzie mogła na glinianej podłodze na rościelonej słomie. Lecz byli to ludzie, którzy zawsze mieli dużo miejsca w swym sercu dla podróżnego, dla przychodnia, dla biednego. "Czem chata bogata, tem rada" — mawiali i dzielili się ostatnim kawałkiem chleba. Pierwszy gospodarz, do którego zapukali, nie odprawił tych znużonych pielgrzymów wymówką, że "nie ma miejsca," ale zaofiarował im to co miał — stajnię. Wszak będzie dach nad głową i ciepło, a bydlęta skarżyć się nie będą, jak to ludzie czynią.

I oto, wśród nocnej ciszy w Betlehemie, w ubogiej stajence wśród bydląt, zrodził się Król królów, Książe Pokoju, Zbawiciel Świata, którego kolebką był żłób z sianem. Stajenka ta stała się pałacem dla Syna Bożego. Gdy inni poszli w zapomnienie, Jego urodziny obchodzi świat cały rok rocznie poprzez tysiąclecia.

BEZDOMNI! — Syn Boży, to Wasz najbliższy Przyjaciel, który po dzień dzisiejszy chodzi z Wami i szuka miejsca po miastach i wioskach, pomiędzy ludźmi bogatymi i biednymi, uczonymi i prostaczkami, i jak nie było dla Niego miejsca wśród obywateli betlehemskich, wśród swoich rodaków, w cesarstwie rzymskim z jego cywilizacją dwa tysiące lat temu, tak i dziś nie ma dla Niego miejsca w domach cywilizacji 20-go wieku. Tylko tam, gdzie jest wpierw miejsce w sercach ludzkich dla Niego, tam też jest dość miejsca i w domach. Tam staje się On towarzyszem życia rodzinnego, wspólnikiem w interesie i przemyśle. Tam zasiada on do jednego stołu z bogatym i biednym i łamie chleb z nimi dzieląc się wspólnie. A poznać go można łatwo, nie tyle wśród tych, którzy na cześć Jego śpiewać będą pochwalne hymny i kolędy, ani tych, którzy z Pamiątki Jego Urodzin robią wielkie interesy, ale wśród tych, którzy przyjęli i praktykują słowa Jego — "Cokolwiek uczyniliście dla tych moich braci maluczkich, mnieście uczynili."

BEZDOMNI! — Ten, który sam nie miał gdzie głowy swojej złożyć, woła do Was: "Niechaj się nie trwoży serce wasze; wierzycie w Boga, i we mnie wierzycie. W domu Ojca mego wiele jest mieszkania; gdyby inaczej było, tobym wam powiedział: idę przygotować wam miejsce. A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę znowu i wezmę was do siebie, żebyście, gdziem ja jest, i wy byli."

Dzień Jego przyjścia się zbliża. Podwaliny szatańskie zaczynają się już tu i tam na kuli ziemskiej kruszyć. Kres dzieciobójczym Herodom i ich rządom jest bliski, a miejsce jego zajmie Królestwo Boże, gdzie On "będzie królował na wieki, a królestwu jego nie będzie końca."

W tą pamiątkę Jego Urodzin śpiewajmy z mnóstwem Aniołów (Posłańców) niebieskich: "Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludzi dobrej woli!" Alleluja! Amen.

BYŁEM W BETLEHEMIE

BETLEHEM, to piękna wieś, aczkolwiek piękności jej niezawsze oceniałem. Moje pierwsze wspomnienia jej łączą się z moim pomieszanem uczuciem chłopca, który był świadomy, że jest niepożądany.

Moi rodzice nie chcieli mię. Wyrzekli się mię gdy jeszcze byłem niemowlęciem, pozostawiając mię w pokoju Gospody, podczas gdy sami odjechali w dalszą podróż jako członkowie wycieczki karawanowej. Widocznie zauważyli garb jaki urastał miedzy mymi łopatkami. Musieli też zauważyć moj zgięty, pokręcony kręgosłóp. Musieli spewnością powiedzieć: "Dariusz wyrośnie na bezradnego kalękę. Najlepiej pozbędziemy się go poki jest jeszcze młodym."

Nie byłem też pożądanym przez właściciela Gospody. Dlaczego on się mną zaopiekował, tego chyba nigdy nie dowiem się. On w rzeczywistości nigdy nie był litościwym. Właściwie interesował się tylko tem, co mogłem zrobić dla niego. Początkowo próbował wyuczyć mię na sługę w Gospodzie, lecz próba ta skończyła się niepowodzeniem. Pamiętam jak jednego wieczora przyniosłem wino do jadalni i ustawiłem dzban na stole przed pięknie ustrojoną damą. Ona spojrzała na mnie i wykrzyknęła przeraźliwie: "Garbaty! Precz! Precz z nim stąd! Boję się go!" Innym razem pewien gość posądzał właściciela za to, że on chowa i utrzymuje bydlaków w Gospodzie, gdy zaniosłem pewne rzeczy do jego pokoju.

☆ ☆ ☆

Tak więc stajnia stała się moim domem. Nie czułem się zbyt wesoło w niej z początku. Przyjąłem na siebie swe obowiązki tak jak nauczyłem się przyjmować wszystko w życiu— mężnie. Uspakajałem siebie przekonaniem, że bogowie uplanowali życie takiem jakiem ono jest i ja nic nie poradzę swemu położeniu.

Życie w stajni nie było tak marnem jak początkowo sobie przedstawiałem. Owszem, stało się przyjemnem i wesołem. Zwierzęta zdawały się przyjąć mię jako jednego z pośród siebie — coś, czego ludzie nigdyby nie uczynili. "Zwierzęta" — powiedziałem sobie — "nie widzą nic nadzwyczajnego w mojej zniekształconej formie. Widzą mię jako potrzebę do swej egzystencji."

Nigdy nie zapomnę jednego wieczora! Było to wśród pory zimowej. Wszystkie zwierzęta były w swoich miejscach w oborze. Po nakarmieniu ich niosłem więcej siana wiedząc, że noc długa. Zdawały się być zadowolone z mego uczynku. Osioł wyciągnął swoją szyję i nosem swym, jakby pluszowym, potarł me ramię, jak gdyby powiedział: "Dziękuję za twoją grzeczność."

Udając się po więcej siana, przechodziłem około drzwi stajni, gdzie usłyszałem jakiś hałas na podwórzu. Miałem jednak iść dalej, bo uważałem, że to tylko więcej pielgrzymów przybyło w poszukiwaniu za noclegem. Jeżeli tak, pomyślałem, to napewno schroniska tu nie znajdą. Rychło wieczorem Gospoda była już zapełnioną po brzegi. Wielkie tłumy ludzi ciągnęły do Jerozolimy, ponieważ Cesarz rozkazał, aby wszyscy przybyli i zapłacili swe podatki. Jeruzalem nie może pomieścić tych wszystkich ludzi. Wielu z nich udało się do pobliskich wiosek, stąd też ludziska walili się do Betlehemu w poszukiwaniu mieszkań.

Zazwyczaj nie zwracałem nigdy uwagi na to, co się na podwórzu działo, lecz tego wieczora otworzyłem drzwi stajni. Widziałem w zmroku wieczornym człowieka stojącego i trzymającego lejce od cugli obok stojącej oślicy. Na grzbiecie oślicy widniała postać niewiasty.

Z błagalnym głosem człowiek ten rzekł do właściciela Gospody: "Musicie ją przyjąć. Ona nie może ani na krok dalej podróżować. Jej czas przyszedł."

Spojrzałem na niewiastę i pomyślałem — co to ma znaczyć, "jej czas przyszedł?" Czyżby ona była gotowa do śmierci, pomyślałem, i na myśl tą wstrząsłem się. W tem moje zamyślenie zostało raptem przerwane szostkim głosem gospodarza: "Mówię ci, nie ma miejsca. W Gospodzie nie ma miejsca."

"Ależ ona musi natychmiast położyć się" — błagał człowiek. "Bezsprzecznie musicie sami zauważyć . . ." wskazując w kierunku niewiasty na oślicy. Patrząc na nią, człowiek ten jakby zapomniał swe błagania o pokój, a przystąpiwszy do niej, dotknął się lekko jej ręki i zapytał z głębokim uczuciem miłości: "Ból, Mario, ból. Czy możesz go znieść?" "Tak, Józefie; tak, ja go zniosę," odpowiedziała niewiasta głosem tak słodkim i melodyjnym, jakiego nigdy przedtem nie słyszałem. Wówczas coś wstąpiło we mnie i coś wyszło ze mnie. Odniosłem ja-

kieś dziwne uczucie w moich bolących, wykrzywionych plecach. Ja, też, poznałem co to znaczy ból cierpieć, lecz ta niewiasta, jakiż ból ona cierpi! Niemożliwem, aby ona miała pozostawać w zimną noc na oślicy. Skoczyłem do drzwi i otworzyłem. "Oto stajnia," zawołałem; "w stajni jest ciepło i czysto."

Właściciel Gospody obrócił się szybko, lecz pozostał w milczeniu. Człowiek trzymajacy cugle oślicy wykrzyknał lekko z radości. Niewiasta na oślicy podniosła głowe, obróciła się i spojrzała na mnie z miłym uśmiechem. Ona zaśmiała się do mnie, garbatego! Jej uśmiech był tak słodkim, tak tragicznym, tak nadziemskim jak i jej głoś. "Zaiste, że mogę położyć się w stajni," rzekła ona. "Chłopak jest grzecznym, Józefie. Proszę, pomóż mi do stajni."

Rzuciłem się prędko od drzwi, nawet jakoś zapomniałem swój własny ból, i zacząłem znosić i rzucać siano w najdalszym narożniku od bydła. Miliony różnych myśli pędziło przez moją głowę, lecz jedna z nich utrzymywała je wszystkiem razem. Chciałem coś uczynić dla tej niewiasty, która uśmiechnęła się do mnie. Nie ma chyba innej osoby w całym świecie, pomyślałem, któraby była tak głodną jak ja na uśmiech sympatii, uśmiech wdzięczności, uśmiech zrozumienia. Za taki uśmiech byłem gotów wszystko uczynić i wszelki ból ponieść. Cóż, zresztą, znaczył dla mnie mały ból w dodatku do znanego mi cierpienia. Jednak, w myśli mojej powstało pytanie, co też mogę uczynić? Muszę coś uczynić, aby tylko ponowny uśmiech od niej wydostać. Spojrzałem na siano. Nie będzie na niem takiej wygody jak w łóżku gospody, lecz ono przecież zostało błogosławione promieniami słońca i kwiatami polnemi. Powinno być wygodnie . . . tylko . . . siano jest kłujące. Czyż znużona i chora niewiasta może odpoczywać wygodnie na nim, czy też ostre kolce nie będą irytować jej miekkiej i delikatnej skóry? W chwilach takich człowiek nie może wyciagnąć żadnej konkluzji z myśli swoich, stąd też momentalnie zerwałem ze siebie swoją starą pilarynę. Zaczepiłem o swój garb pomiędzy łopatkami. Innym razem odczułbym był nieznośny ból, lecz, o ile sobie przypominam, tym razem wcale nic nie odczułem. Wreszcie zwolniłem się z niej i rozścieliłem moją starą, znoszoną i podziurawioną pilarynę na sianie.

Maria i Józef weszli do stajni. Małe jagniątko — zaledwie co chodzić próbowało — potoczyło się z zagrody i stanęło na ścieżce, tóż pod ich stopami. Właściciel Gospody odezwał się szorstko: "Dariuszu, trzymaj zwierzęta precz z drogi. Czy nie widzisz . . .?" W tem zamilkł. Spojrzał na Marię. Naśladowałem jego spojrzenie. Wówczas zrozumiałem co Józef miał na myśli, gdy mówił "jej czas przyszedł," ponieważ była ona brzemienną.

Widziałem, jak Józef pomagał Marii ułożyć sie na sianie, nakrytem moją podartą pilaryną, która służyła za prześcieradło. Słyszałem jak gospodarz rzekł: "Spróbuję wysłać do pomocy jedną z służących dziewczyn, choć nie wiem czy sie to uda, bo jesteśmy przeładowani gośćmi tego wieczora." Widziałem jak on się obrócił i wyszedł ze stajni. W drzwiach jeszcze rzucił prędkim spojrzeniem w ciemno oświetlony kąt obory, jakgdyby miał powiedzieć, że był rad pozbyć sie tej całej sprawy.

Stałem, jak wkopany patrząc na wszystko z zadumaniem — nie pamiętam jak długo. Wtedy usłyszałem jak Józef mówił do mnie: "Chłopcze," powiedział łagodnym głosem w którym wyczuć można było podniecenie i alarm, "przynieś mi latarnię i trochę wody." Nie pamiętam czy kiedykolwiek byłem tak uradowany. Całe życie opiekowałem się zwierzętami w stajni. Obecnie dwojga ludzi przyjmowało moją usługę z zadowoleniem. Wprawdzie mała to usługa była, ale przynajmniej mogłem latarnię i miskę ciepłej wody przynieść z kuchni. Z twarzy Józefa mogłem wyczytać wyraz wdzięczności, gdy im usługiwałem. Ukradkiem spojrzałem na Marię. Jej twarz ściśnięta była od bólu. Skoro jednak zauważyła, iż spoglądam w jej oczy, ponownie uśmiechnęła się, a dla mnie otworzyło się niebo z jego czarującym urokiem i chwała.

Na dworze mrok wieczorny obrócił się w noc ciemną. Przyszła północ i przeszła. W tych kilku godzinach żyłem poraz pierwszy jak ludzkie stworzenie. Zapomniałem swoją potworną postać. Zapomniałem zgarbaciałe plecy. Zapomniałem ból jaki przeszywał moje łopatki i plecy, gdy z radością wypełniałem życzenia Józefa. Jakoś wtedy, gdy pomagałem innemu cierpiącemu, czułem, że jednak jest Bóg — Bóg, który nawet mną się interesuje.

Dość już późno po północy wróciłem z kuchni z więcej wody. Miałem przemówić do Józefa, lecz wstrzymało mnie to, co zobaczyłem. W ramionach Marii było dzieciątko. Odczułem jakieś nowe dziwne pokrewieństwo z tem niemowlątkiem, coś, czego nigdy przedtem nie odczuwałem. Nie wiedziałem wówczas nic z tego, co prorocy powiadali o tem dzieciątku. Nie wiedziałem, iż spoglądałem na Syna Bożego. W mojej brzydocie nauczono mię wierzyć, że Bóg jest własnością tylko tych, którzy mogli służyć mu w świątyni. To pokrewieństwo wobec nowonardzonego dziecięcia, zapewniałem siebie, wyłaniało się przypadkowo i łączyło się z faktem, że ono zrodziło się w stajni, gdzie ja doglądałem bydła. Dziecię to wyglądało jak żadne inne dziecie przed niem. Ono nie wyglądało jak nowonarodzone. Wygladało raczej tak, jak gdyby świat do którego ono weszło, był zawsze jego domem. Jego oczy zdawały się jakby oczy, które spoglądały poprzez wielkie przestrzenie. Jego różowe ręce spoczywały spokojnie na jego piersiach. Ono nie płakało. Leżało tylko w żłobie, owinięte w dziecinne pieluszki.

Na dworze słychać było wielki zgiełk. Zbliżyłem się do drzwi i wejrzałem przez szparę w ciemnię nocy, lecz noc nie była już ciemną. Całe podwórze było jasno oświetlone. Wyszedłem i znalazłem się wśród zgromadzonej rzeszy ludzi z Gospody. Wszyscy byli tak podnieceni, iż mnie wcale nie zauważyli. Ktoś zawołał, "To przypowiednia." Inny krzyknął, "To znak." Ktoś jeszcze zawołał, "Prorocy przepowiadali, że tak się stanie, gdy nasz Mesjasz się narodzi." Wszyscy spoglądali w niebiosa. Ból w moich plecach nigdy nie pozwolił mi spoglądać w górę, lecz tym razem podniosłem głowę do g óry. W obłokach widziałem jasno świecacą gwiazdę.

Moja uwaga została wreszcie skierowaną do małej grupki ludzi. Byli to pasterze z gór. Mówili, "Aniołowie mówili do nas, że nasz Zbawiciel zrodził się dziś wieczorem tu w Betlehemie, że możemy go znaleść tutaj w żłobie, w pieluszki owiniętego. Przyszliśmy oddać mu pokłon."

Zbawiciel! Zbawiciel! I ja usługiwałem przy jego narodzeniu. Pasterze o tem nie wiedzieli, bo oto akurat właściciel Gospody wybiegł do nich i wykrzyknął: "Znajdziecie go tam," i wskazał im na stajnię.

Na podwórzu zapanowała cisza. Cichutko, pobożnie i z powagą pasterze weszli do stajni. Za nimi weszli właściciel Go-

spody z żoną, poczem goście gospody. Pasterze zbliżali się powoli do miejsca gdzie mogli ujrzeć Dziecię — Chrystusa. Jeden padł na kolana, drugi złożył ręce do modlitwy. Inny stał w zadziwieniu i bojaźni. Przedarłem się przez tłum do miejsca z którego mogłem dobrze widzieć Świętą Rodzine. Dzieciątko — nasz Zbawiciel — wyglądał jak żadne inne dziecko nie wyglądało. Jego matka, leżąc na mojej podartej pilarynie, uśmiechnęła się gdy mię zobaczyła.

Żona gospodarza zauważyła moją pilarynę. To nie jest dość dobra, aby nosiła Zbawiciela ludzkości — szeptała do siebie — i pobiegła do Gospody po czyste, białe prześcieradło. Chwyciła ze wstrętem moją pilarynę z siana i prędko rzuciła na ziemię. Podczas gdy ona owijała matkę i dziecię w białe prześcieradło, moje oczy wlepiły się w moją pilarynę. Poraz pierwszy od chwili zdjęcia jej z siebie, poczułem zimno. Nietylko poczułem zimno na ciele, ale odczułem też brak ciepła w duszy. Moja pilaryna, leżąca na ziemi, była dowodem, że moje usługi stały się niepożądane więcej. Nie były dość dobre dla ludzi, tem mniej dla Boga.

☆ ☆ ☆

Odrzucona, nieodrzucona; pilaryna była jednak moją. Coś mię popchnęło ją podnieść z bólem w sercu. To wszystko co mi pozostało było z uśmiechu, który mię tak bardzo pocieszył i zagrzał. Dla mnie nie była to tylko stara podarta szmata; była to cząstka tego niemowlęcia leżącego przy boku matki. Była to cząstka światłości gwiazdy, która tak jasno świeciła nad podwórzem. Była to cząstka tej dobrej nowiny jaką aniołowie śpiewali pasterzom w górach.

Włożyłem pilarynę na siebie i zdawało mi się, że wszystkie oczy były skierowane na mnie. Przeraźliwa przytomność samego siebie napełniała mię uczuciem usunięcia się w ciemny kąt przy ścianie. Nie mogłem jednak ruszyć się. Coś — coś, czego nie mogłem pojąć, działo się ze mną. Gdzie się podziać mógł garb między łopatkami? Co się stało z moim bólem w plecach? Gdzie zniknął mój pokrzywiony kręgosłup, który zawsze trzymał moją głowę pochyloną do ziemi? Gdzie się po-

(Dokończenie na str. 14-ej)

MIŁOŚĆ I DUSZA

Niewiele istnieje słów tak potwornie nadużywanych jak słowo "miłość."

I to, co najwyższe i najpiękniejsze i to, co najohydniejsze, najczystsze i najordynarniejsze, myśli godne anioła i rzeczy, które ludzi poniżej zwierząt stawiają — te wszystkie sprzeczne wzajemnie elementy musi obejmować aż nazbyt cierpliwe słowo "miłość."

Prawią o niej na wszystkich ambonach i kazalnicach świata, śpiewają na pół trzeźwi goście w nocnych lokalach; raz jest świętym chorałem, innym razem brudną piosenką spelunki. Nie ma budynku, któryby pomieścił wszystkie książki jej poświęcone; każdy poeta, a tych jest legion w każdej generacji, przynajmniej potrąci o tę melodię, każdy powieściopisarz, a tych znów jest dziesięć legionów w każdym wieku, wie doskonale, że książka malująca dzieje miłości, może liczyć na powodzenie. Ale stąd właśnie szkodę ponosi wielką to słowo, bo tylekroć przechodzi przez brudne ręce; wymawiają je niechlujne wargi, jak przez bagna i błota przedziera się przez nieczystą fantazję; skarykaturowane na scenach, w tingl-tanglach i złączone z najbanalniejszymi melodiami, traci swój wdzięk, blask i godność. A przecież powaga tego słowa, jego godność i treść wielka jest i święta, skoro apostoł Jan, szukając określenia najgłębszej istoty Boga, wyraził ją w słowach: "Bóg jest miłość" (1. Jan, 4, 8). To słowo poczęło się w Bogu, zanim świat istniał, nim określamy najwewnętrzniejsze myśli i motywy całej ekonomii Bożej na ziemi. Stąd przynajmniej w ustach chrześcijanina nie powinno być szargane, podobnie jak inne święte słowa, określające misteria wiary.

Miłość jest najpiękniejsza; żaden kwiat nie jest tak piękny, jak serce kochające, żadna muzyka nie da się porównać z miłością, tą cudowną melodią duszy, gdy ręka Boża o jej struny potrąca. Miłość to siła najwyższa, jaką Bóg stworzył; żadna góra nie jest dla niej za wysoka, żadna przepaść za stroma, żaden ból za wielki, żadne słońce za jaskrawe, żadna noc za ciemna; silniejsza jest niźli śmierć i groza śmierci, nie wzdryga się ani przed gilotyną, ani przed stosem, na którym całopaleniem spłonie. Miłość jest wieczną wiosną, wieczną młodością, wiecznym świętem i ona jedyna nadaje życiu wartość, ciepło

i namaszczenie. Miłość stworzyła człowieka, Boga człowiekiem uczyniła, Boga na mękę prowadziła, by pełne i piękne życie ludziom wysłużył. I dlatego świete jest słowo "miłość," a jego nadużycie poniekąd staje się bluźnierstwem. Są pieśni, które się śpiewa codziennie, zdawkowo, bez głębszych wzruszeń, ale istnieją też i takie, co budzą rzewne wspomnienia, ociekają łzami i krwią, a w każdym prawie tonie skarży się złamane szczeście, serce i życie ludzkie. Takie uroczyste, poważne, głębokie, że tylko w samotności, w ciszy wieczoru jak pacierz z duszy ludzkiej płyną.

Taka pieśnią wieczną ludzkości jest miłość; rozbrzmiewa przez wieki we wszystkich językach, we wszystkich krajach, gdzie tylko serce ludzkie bije; raz jest żywiołowym orkanem, co wszystko niszczy i burzy, innym razem łagodnym poszumem świętych gajów, a kiedy łka i zawodzi, w modlitewny nastrój wprawia i ręce jakgdyby do pacierza składać każe. Bo ona właśnie krwią ocieka, krwią przyjaciela, Boga-człowieka, krwią Golgoty, ponad którą napis: Boża miłość, litościwa, zbawiająca, zdradzona, wyszydzona, umęczona, umierająca! Miłości pieśń, to najpiękniejszy klejnot duszy ludzkiej, ale miłość choć ogniem jest tej duszy, nie jest żarem zmysłów, zewem krwi, nienasyconym popędom, jeno łukiem ognistym, co od duszy do duszy sięga i duszę z duszą łączy. Ciało i krew ma i zwierzę, ale miłość jedynie człowiek, bo miłość jest pieśnią duszy! Dusza zaś jest duchem, jak Bóg i aniołowie i ona właśnie decyduje o stanowisku człowieka, pośród stworzeń. Przez duszę człowiek jest wielki, bo jeśli chodzi o ciało, o siłę muskułów, raczej do słabszych istot w naturze. należy. Dusza wybiega ponad materie w niewidzialny świat nadziemskich mocy, a wszelki postęp w naukach, arcydzieła, sztuki, cuda techniki dziełami duszy są a nie ciała. W duszy też leży potęga ludzka i szlachectwo, stąd nawet, gdy chore, można być pełnym i wielkim człowiekiem. Bo naprawdę tak długo jest się człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu, jak długo dusza jest królem i panem. Kto tedy duszę swą poniża, sam się deklasuje i degraduje, kto ją chce żywić kamieniami chociażby najszlachetszymi zagłodzi ją, gdyż ona jest duchem i jedynie duch ją nasycić może. Kto np. zmusza swą duszę, by tylko pieniądzem się interesowała, zysk uważała za największą radość, a stratę pieniądza za największe nieszczęście, ten ją poniża, czyni

twardą i zimną jak kruszec, bo dusza tym będzie, co kocha i do czego jest przywiązana. Najwyższym, co dusza dać może — to miłość; im szlachetniejszą jest dusza, tym piękniejsza, czystsza i szlachetniejsza będzie jej miłość. I odwrotnie, im więcej człowiek uszlachetnia swą miłość, tym piękniejsza będzie dusza. Im więcej duchowa jest miłość, tym czystsza atmosfera duszy, jej myśli, pragnienia, tym wyższe jej cele. I dlatego dla duszy upadłej istnieje tylko jedna droga odrodzenia wyższa miłość. Znana w mieście jawnogrzesznica Magdalena z chwilą, gdy pokochała Zbawiciela, odeszła od tego, co brudne i niskie, a gdy miłość Pana objęła jej pragnącą duszę, stała się czystą, czystszą może, niźli te inne niewiasty, co rozpustę z imienia tylko znały (Łuk. 7,47).

Dusza jest jakgdyby czarą kryształową, którą człowiek wypełnia tym, co kocha; kto ją wypełnił Bogiem ten bierze udział w bożym myśleniu i bożej miłości, i zbliża się do ideału, który Chrystus postawił w słowach: "Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz niebieski doskonały jest" (Mat. 5,48). Niema duszy ludzkiej, którąby nie kochała i miłość jej jest miarą wartości człowieka; gdy zwraca się do brudnych i niskich rzeczy, dusza podobna jest do orła, któremu skrzydła obcięto, a duch niby zdetronizowany król, odczuwa na sobie razy z rąk własnych sług; gdy miłość jest tylko szałem zmysłów, krzykiem krwi i żądzą ciała, trzyma człowieka na poziomie zwierzęcia. A przecież ten dar wspaniały na to jest dany, by był środkiem do wzlotu, do wyżyn, ku słońcu, ku niebu, ku ostatecznemu i niezniszczalnemu etapowi, któremu na imię: Wieczne życie miłości. To najpiękniejsze uczucie ludzkie nie tylko zostało uszanowane w chrystianiźmie ale rozszerzone, podniesione, prześwietlone, a w dzień Zielonych Świąt sam Bóg proklamuje je jako odblask i echo wielkiej Miłości, która wypełnia wewnętrzne życie Boże i żadnym ludzkim rozumem zgłębić się nie da. Treścią i ośrodkiem chrześcijaństwa stała się miłość wzniesiona nawet do godności szczególnego kultu, jak w żadnej innej religii. Bo oto w dziejową godzinę dnia pięćdziesiątego po Zmartwychwstaniu Pańskim Duch Święty zstępuje na ziemię i poczyna mieszkań w kościele i duszach ludzkich, łącząc je z Bogiem przez miłość, która stwarza, gdyż sam jest uosobieniem miłości, jaką Bóg-Ojciec i Bóg-Syn wzajemnie się miłują. I wtedy dopiero pełne i prawdziwe jest życie ludz-

kie, gdy Duch Boży mieszka w duszy i cudowną, tajemniczą więzią miłości człowieka sprawiedliwego w świątynię Boga przemienia, stygmatem Bożym znaczy, w wyżyny nadnaturalnego poznania i nadnaturalnego ukochania prowadzi. Miłość, która jest streszczeniem człowieka, wszystkich jego władz i całej jego działalności, uszlachetniona i prześwietlona Duchem Bożym wyrównywa przepaść między Bogiem a człowiekiem, synostwem Bożym ludzi darzy i tak cennym jest klejnotem, że jeśli już w doczesnym porządku tworzy według słów poety "motor tego świata" (Dante), to w porządku nadprzyrodzonym samym życiem jest, jego treścią i istotą.

Wielkie tedy jest słowo "miłość" i biada temu, kto tę iskrę Bożą zgasił, kto ją sponiewierał, stłumił; w ciemnościach błądzi i dostojeństwa swego się wyrzeka.

Nadesłał — **Konstanty Najder.**

Miłość i Dusza

(Dokończenie ze str. 10-ej)

działa ta brzydota mego życia, która czyniła mię bydlęciem, stworzeniem stajni? Wszystkie znikły, a ja stanąłem prosto.

Poraz pierwszy w życiu poznałem, że życie moje dotknęła Siła Wszechmogącego. Jak strasznem to było myśleć poprzez te wszystkie lata, że Bóg nie interesuje się wszelkiem stworzeniem swojem — nawet garbatym. Teraz dopiero poznałem w pełni siły, jak brzydkiem jest strona życia cielesnego bez części duchowej.

Już nie pragnąłem skryć się w ciemnym kącie stajni. Pokornie ukląkłem, wcale nieświadomy swoich własnych słów, które wypływały z ust moich: "Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój w ludziach dobrej woli." W sercu moim był pokój — i była dobra wola.

J. G.

GOSPODA I STAJNIA.

Do gospody przyszli, lecz miejsca nie było;
W stajni wśród bydląt DZIECIE się zrodziło.
Stajnia dla Zbawcy gospodą się stała;
Gospoda dla ludzi—bydląt—stajnią pozostała.

J. G.

WIADOMOŚCI I SPOSTRZEŻENIA

DETROIT, MICH. — W dniach od 2—4 listopada odbył się tu Międzynarodowy Zjazd Baptystycznych Kaznodziei, na którym było reprezentowanych 11 różnych narodowości. Z pośród Polskich Baptystów następujący kaznodziejowie brali czynny udział w tej konferencji: kazn. L. Miksa z New Yorku, kazn. R. A. Mikolon z Buffalo, N. Y., kazn. J. Gilewicz z Chicago i miejscowy kazn. M. S. Lesik z Detroit.

Konferencja ta poświęcona była problemom pracy misyjno-ewangelizacyjnej wśród różnych narodowościowych grup w Ameryce. Kazania, odczyty, ożywione dyskusje stanowiły treść nader interesującego i budującego programu.

Podczas bankietu jaki odbył się w Woodward Baptist Church, gdzie wszystkie sesje się odbywały, zgromadziło się kilka set gości z miejscowych kościołów baptystycznych, przeważnie obcojęzycznych. Ciekawe przemówienie wygłosił kaznodzieja z miejscowego włoskiego kościoła baptystycznego, pastor Pinezoli, który ubiegłego lata zwiedził swój rodzinny kraj, Włochy. Przemówienie jego było zatytułowane: "Wiadomości z Rzymu." Między innemi obserwacjami, mówca wypowiedział takie zdanie: "Ludzie w Italii powiedzieli mi, ażebym powiedział ludziom w Ameryce, że 'nasz wróg we Włoszech, to nie komuniści, ale Watykan.'" Powiedział też, że bardzo wielu księży katolickich we Włoszech opuszcza kościół rzymski i organizuje zbory Protestanckie. Księża ci są strasznie prześladowani. Jest ich we Włoszech 500, którzy opuścili kapłaństwo rzymskie i wielu z nich przygotowuje się do pracy kaznodziejskiej wśród Protestantów.

Korzystając z obecności przyjezdnych kaznodziei, kościoły miejscowe zaprosiły gości na jeden wieczór do swoich zborów. W Polskim Kościele, gdzie pastorem jest kazn. M. S. Lesik, kazania wygłosili: kazn. R. A. Mikolon i kazn. J. Gilewicz.

Ponieważ prawie cały Zarząd Zjednoczenia Polskich Baptystów w Ameryce był obecnym, stąd też odbył swoje własne plenarne posiedzenie, na którem ustalono date przyszłej Konferencji Polskich Baptystów jaka ma się odbyć w Detroit w dniach od 29 lipca do 1 sierpnia 1950 roku. Będzie to pierwszy

raz, kiedy Polska Konferencja rozpocznie się w sobotę, zamiast w niedziele, jak dotychczas praktykowano. Ten dzień otwarcia będzie poświęcony zgromadzeniom i sesjom młodzieży.

ŚWIATOWY KONGRES BAPTYSTÓW

Amerykańscy Baptyści w Cleveland, Ohio czynią już od dłuższego czasu usilne starania przyjęcia i pomieszczenia w mieście 30,000 delegatów i gości z całego świata, którzy zjadą się do tego miasta na Światowy Kongres Baptystów jaki ma się odbyć w dniach od 22 do 27 lipca 1950 r. Kongres taki odbywa swój zjazd co pięć lat. Delegaci z różnych krajów świata, różnych języków, ras i strojów narodowościowych — to iście kolorowy obraz jednej rodziny rodu ludzkiego, spojonej duchem Chrystusowym w braterstwo i pokrewieństwo życia Chrześcijańskiego na ziemi. Kto raz na takim zjeździe był, nigdy tego doświadczenia nie może zapomnąć.

Wielka i impresyjna demonstracja w której weźmie udział 55,000 Baptystów podczas zjazdu, odbędzie się w sobotę w Great Cleveland Stadium. Prezydent Stanów Zjedn. Truman, sam Baptysta, ma prawdopodobnie przemawiać do tej licznej rzeszy w ten dzień.

Wielkie Przedstawienie, w którem wystąpi 1000 osób ozdobionych w różnobarwne kostiumy, odzwierciadli całą historię zwycięstwa światłości Chrystusowej nad mocarstwami ciemności i zademonstruje baptystyczne demokratyczne zasady wolności sumienia, swobody religijnej i rozdziału państwa od kościoła.

Spodziewani są też delegaci z Polski, którzy po Kongresie wezmą udział w Polskiej Konferencji w Detroit, Mich., poczem odwiedzą polskie zbory w Ameryce.

Każdy, kto tylko może, powinien planować swoje wakacje tak, aby wziąć udział w tych dwóch tak ważnych konferencjach — w Cleveland i Detroit. Taka okazja rzadko się zdarza w życiu. Najważniejszem jest poczynić starania przed czasem o miejsce w Clevaland, bo wszystkie hotele i domy będą po brzegi wypełnione. Już od kilku miesięcy nadchodzą zamówienia w liczbie 200 dziennie do Cleveland.

OD WYDAWNICTWA

Niniejsze trzy-miesięczne wydanie Wolnego Chrześcijanina w jednym zeszycie spowodowane zostało jedynie brakiem funduszu na druk. Redaktor, który swój czas i pracę poświęca bezinteresownie już od pięciu lat, jest nadal gotowy to czynić w tym przyszłym roku 1950, lecz nie jest w stanie w dodatku do pracy i czasu poświęcanego dokładać z własnej kieszeni do pokrycia kosztów wydawnictwa, choć tym razem był zmuszony to uczynić. Wobec takiej sytuacji powstaje pytanie, czy Wolny Chrześcijanin, będący w takim ubogim położeniu finansowym, ma rację bytu. Logika nam dyktuje, że nie. Obowiązek moralny, uczucie chrześcijańskie i potrzeba istnienia takiego pisma, jakim jest Wolny Chrześcijanin, ścierają się z logiką i powiadają nam, że Wolny Chrześcijanin powinien nadal istnieć, że nie wolno mu pozwolić umrzeć z głodu w bogatym kraju, bo on służył i służy nie materialnym celom, ale wzniosłym ideałom zbawiennej Ewangelii wśród naszych rodaków, nietylko tych w Ameryce, przesyconych różnymi pismami, ale tych zagranicą, w Polsce i innych krajach — tych głodnych słowa nauki i oświaty.

Jesteśmy głęboko zobowiązani wobec tych szczodrobliwych czytelników i przyjaciół naszych, którzy swymi hojnymi ofiarami przyczynili się i stale przyczyniają się do podtrzymania tego pisma, lecz zamało takich mamy, a ogólna liczba płatnych czytelników jest zamała, aby z samej prenumeraty pismo bezogłoszeniowe mogło się utrzymać. Mało z licznej rzeszy naszych czytelników zagranicą mogło dotychczas przyjść nam z pomocą, a z Polski, dokąd najwięcej egzemplarzy wysyłamy, wcale niemożliwem było dotychczas spodziewać się opłaty naszego pisma. Prośby o pisemko jednak stale napływają do redakcji.

Co mamy czynić w nadchodzącym Nowym Roku? Niech Czytelnicy będą łaskawi nam dać pewne rady i wskazówki, którymi chcemy się kierować. Skoro otrzymamy dodatnią odpowiedź popartą ofiarą i deklaracją konkretną na dalsze utrzymanie pisemka, to redaktor, jak dotychczas, zawinie rękawy do dalszej pracy. W przeciwnym razie będzie zmuszony odprawić pogrzebowe nabożeństwo ku św. pamięci Wolnego Chrześcijanina.

Czekamy na odpowiedź do dnia 1-go stycznia.

CHRISTMAS AND NEW YEAR

One follows the other and both spell one word — BEGINNING. With Christmas began a New Era — the Christian Era. With it came a new life into the world, and that Life became the Light of the world. And the darkness of the world could not extinguish it. It keeps on shining day after day, year after year for centuries. At Christmas time it shines brightest. No one can escape it, or hide from it. It reveals the beautiful and the ugly, the selfish and the unselfish nature of men. The beauty, the goodness, the unselfishness can be seen in such simple people like the Shepherds from the hills and the Wise Men from the East. The ugliness, the selfishness and the evil can be seen in such people like the Herod.

Furthermore, Christmas gave to the world a new song, "Glory to God in the Highest, and on earth peace, good will toward men!" What song is more beautiful, more melodious, more harmonious and more international than that! What song can cheer the world torn with strife and war, and keep faith, hope and love burning in human heart, more than this song of the Heavenly Host!

Has Christmas brought a New Life, a New Light and a New Song into your heart? Has it given you a New Beginning, a New Start in your life? These are God's free gifts which sprang from God's love at Christmas time — "For God so loved the world, that he gave his only begotten Son, that whosoever believeth in him, should not perish, but have everlasting LIFE."

The New Year with which we mark new time adding it to the years of our life, will indeed be new to us if Christ found room to be born in our hearts.

This is my Christmas and New Year's wish for you!

The Editor.

A Letter to Santa Claus

Dear Santa:

I know you will not want to forget your dear ones, your relatives and your friends, at Christmas. But you are liable to forget me. Yet I am your friend, your partner and God's servant. I go into many homes as your ambassador of good cheer; I cross the oceans with a message of hope and light and salvation which I carry to your brethren and mine. I have a great task to perform, but I am not as well-to-do as some of your relatives and your friends whom you will not forget at Christmas. I have tough going. Will you remember me also at Christmas? Should you have forgotten my name, I wish to remind you again. I am THE FREE CHRISTIAN. O, yes — my address is still the same: 2860 N. Woodard St., Chicago 18, Illinois.

Good-Bye, Santa, and may you have a Very Merry Christmas as you go on distributing your gift.